



Jaroslav Rudiš

GRANDHOTEL

POWIEŚĆ NAD CHMURAMI



GOOD
BOOKS

FÜR SONJA UND SOLO LOVEC

Przekład: *Katarzyna Dudzic*

Tłumaczenie niniejszej publikacji zostało dofinansowane
przez Ministerstwo Kultury Republiki Czeskiej.

© Copyright by Jaroslav Rudiš, 2006

© Copyright by Labyrint, Praha (CZ), 2006

© Copyright for polish edition by Good Books, 2011

ISBN 978-83-928051-4-4

l.



UNOSZĘ SIĘ

Udało mi się. Mówię to, żeby od początku wszystko było jasne. Żebyście nie musieli się o mnie bać.

Ja się nie boję.

Unoszę się, na wyciągnięcie ręki mam chmury. Niebo. Sny. Nieskończoność. No i w końcu też samego siebie.

W głębi pode mną powoli rozplywa się nasze miasto. Miasto, które kocham i którego nienawidzę. Miasto otoczone górami, przeszłością, czasem też strachem, dlatego że przeszłość nie jest niczym innym, tylko strachem. Ja go pokonałem. Odciałem się od strachu i przeszłości. Opuszczam miasto, z którym się zrosłem i którego nigdy nie udało mi się opuścić.

Aż do teraz.

Udało mi się.

Obserwuję wysokość, kierunek lotu i wiatr.

Udało się, choć nikt w to nie wierzył.

Nikt mi nie wierzył. Nawet sam sobie nie wierzyłem.

Unoszę się i oślepia mnie słońce, wylewające się ponad horyzont.

Horyzont nie jest gładki. Jest pełen wypukłości, dlatego że takie też są chmury. I nasze sny. I nasze życia.

Żadna noc nie jest pozbawiona snów, a niebo nigdy nie jest bezchmurne. Są tam, nawet jeśli się ich nie widzi i nie czuje.

Udało mi się.

Mam dzisiaj urodziny i zrobiłem sobie prezent. Prezent, na który czekałem całe życie.

Lecę.

Unoszę się.

Wkrótce zajrzę za horyzont.

Jest szósta trzydzieści rano. Zachmurzenie małe. Nieliczne chmury wysokiego piętra. Cirrusy. Wiatr zachodni. Sześć stopni Celsjusza.

Udało mi się.

Unoszę się.

8

Utrzymuję kierunek.

W uszach zaczyna mi grać najpiękniejsza muzyka, której nikt inny nie słyszy, dlatego że człowiek musi być sam, kiedy chce zrealizować swój sen, żeby nikt mu go nie ukradł. Żeby mógł się nim nacieszyć. Albo przynajmniej powinien być sam.

Tą muzyką jest cisza.

||.



RZEŹNIK

Nazywam się Fleischman. Wcześniej też nazywałem się Fleischman. A w przyszłości również będę się nazywał tylko Fleischman, niech sobie ludzie mówią, co chcą, niech sobie mają imion i tytułów, ile chcą, i niech jakaś przyszłość nadejdzie albo i nie nadejdzie.

Urodziłem się 21 września 1973 roku. Tego dnia imieniny obchodzi Matouš. Mówię to dlatego, żebyście nie musieli zaglądać do kalendarza, bo wiem, że ludzie lubią szukać tam imion, dowcipów, horoskopów, i dlatego teraz w kalendarzach drukują cytaty znanych ludzi, fotografie domków w Karkonoszach albo przepisy kulinarne. Serio, Jégr po nocach czasami się w nich zaczytuje, gładząc się po brzuchu. Jégr tak, ja nie. Ale do Jégra jeszcze dojdę.

Generalnie lubię kalendarze, jeśli o to pytaacie. Lubię liczby, dlatego że liczby nie kłamią. Liczby, wykresy i chmury.

Nigdy nie obchodziłem swoich urodzin. To znaczy, od kiedy jestem sam. Ani imienin.

Fleischman nie występuje w kalendarzu. A ja nazywam się Fleischman.

Das Fleisch po niemiecku znaczy mięso. Ludzkie i zwierzęce. Albo *mięsz w owocu*. *Der Mann* znaczy mężczyzna. Albo *małżonek*. *Mąż*. *Wasal*. *Lennik*. Więc może lepiej *mężczyzna*, jeśli już mogą sobie wybrać. Kiedy się to połączy, może wyjść *Mięsisty Mężczyzna*. *Mięszczyzna*. Jeśli włączycie wyobraźnię, to też *Mężczyzna z Mięsa (z krwi i kości)*. *Mężczyzna kochający mięso*. *Mięsarz*. *Rzeźnik*. Więc chyba po prostu *rzeźnik*. Mówię to, ponieważ imiona nie są przypadkowe. Nie kłamią. Dużo o nas mówią. Przy najmniej tak twierdzi moja pani doktor.

Kiedy nad naszym miastem zgromadziły się czarne chmury, w historii naszej rodziny zgubiło się jedno „n” ze słowa *Mann*. Powiem wprost, że to „n” było najmniej istotną rzeczą, która mogła się w naszej rodzinie zgubić.

12 Być może spytacie, jak nazywam się dalej. A właściwie, jak nazywam się *wcześniej*. Ludzie zazwyczaj mają imię i nazwisko, ale ja mam tylko nazwisko. To *wcześniej* zapomniałem. Musiałem zapomnieć.

Nazywam się Fleischman. Mam sto siedemdziesiąt dziewięć centymetrów wzrostu. Ważę siedemdziesiąt trzy kilo. Mówię o tym, bo może interesują was liczby, tak jak interesują mnie.

Nazywam się Fleischman. Jestem rzeźnikiem, który nie je mięsa, bo nie lubi krwi. Rzeźnikiem, który na talerzu kroi sobie chmury i pogodę,

dlatego że na świecie nie ma niczego ważniejszego. Kroci też samego siebie. Ale do tego jeszcze dojdę. Do wszystkiego jeszcze dojdę.

Wszystko musi być po kolei. Tak jak buduje się model samolotu. Albo szuka literek w zupie i tworzy z nich słowa, które potem się zjada. Chmura na niebie przecież też nie bierze się znikąd. Najpierw potrzebuje jakichś drobinek. Kurzu. Dopiero na nich osiada wilgoć. Z wilgoci powstają małe kropelki, potem większe i na koniec powstaje chmura.

Zatem najpierw nasypię wam na talerz trochę drobinek kurzu. Trochę życiowego popiołu Fleischmana. Ale jak się nad tym zastanawiam, to zamiast po kolei wolę przeskakiwać z tematu na temat.

Moja pani doktor mówi, że ludzkie życie jest jak mozaika. Że nie pamiętamy go w całości. Że za sobą zawsze widzimy tylko momenty. Przebłyski. Błyski.

13

STAN DUSZY

Nie zaczęło się zbyt spokojnie.

21 września 1973 roku było jasno i ciepło. Delikatny wiatr. Altwajberzomer, jak mawia nasz sztampgast Franz. Babie lato, które powstaje pod wpływem wysokiego ciśnienia nad Rosją.

Pamiętam to jak dziś.

Kiedy wylazłem mamie z brzucha, na porodówce było otwarte okno i wszystko to zobaczyłem, poczułem i usłyszałem. Po prostu byłem tam.

– No i już – powiedział lekarz.

– Wystarczy – powiedziała pielęgniarka.

– Dziewczynka? – spytała moja mama.

– Chłopiec – powiedział lekarz.

– Będzie pan miał zimną kawę, doktorze
– powiedziała pielęgniarka.

– Pani zrobi nową.

Na chwilę wzleciałem, popatrzyłem na wszystkich spod sufitu: zobaczyłem białą porodówkę, mamę, jak mnie trzyma na piersi, pielęgniarkę piszącą coś w papierach, lekarza ściągającego rękawice.

Chciałem lecieć wyżej, ale walnąłem głową w sufit. Nagle straciłem oddech i zacząłem opadać. Widziałem mamę krzyczącą, że się duszę, że nie oddycham i biegnącego w stronę mojego ciała lekarza – przewrócił kubek z kawą, która rozlała się po stole. Ta brązowa plama wyglądała jak Australia.

14

Spadłem na ziemię i przez chwilę było zupełnie cicho. W końcu się rozryczałem.

Lekarz potem powiedział mamie, że o mało nie umarłem, ale że nie powinno to mieć najmniejszego wpływu na moje życie, bo tak poza tym to jestem w porządku. Chłop jak dąb. Zuch na schwał.

– Tego nikt nie może pamiętać – powiedział mi Jégr.

– Ale ja to normalnie pamiętam. Wszystko widziałem. A w radiu śpiewał Matuška.

– No, jasne, a nad kolebką stał stary Gott.

– Normalnie śpiewał *Dojrzewały czereśnie*.

– Takie kity to wciskaj swojej starej – powiedział Jégr i walnął mnie po głowie. – Chcesz mi wmówić, że widziałeś, jak się dusisz na porodówce i jak cię ratują? A ta kawa to była sypana? Czy może rozpuszczalna?

– Tego nie wiem. Ale na dworze było babie lato. Normalnie jak teraz.

– Normalnie... ciągle tylko normalnie. Ale ty nie jesteś normalny, szajbusie! Pogódź się z tym.

– Nie, lekarz powiedział, że ze mną jest wszystko w porządku.

– Jakby z tobą było w porządku, to byś tak ciągle nie smarkał. I miałbyś babę. I kibicowałbyś Slovanowi.

– To nie ma z tym nic wspólnego.

– Jasne, że ma! Kto nie kibicuje, nie dyma! Ja mam wieczne babie lato.

– Przecież pan też nikogo nie ma.

– Ale miałem, kolego, miałem. I to ile! Ja mam co wspominać.

– No ile?

– Chmary. Cały świat mi klęczał u stóp. I te baby ciągle by przede mną klęczały, gdybym chciał.

– I tak uważam, że ze mną jest wszystko w porządku.

– Jak z tobą jest wszystko w porządku, to ja jestem święty Józef, ty Waligrucho.

Waligrucha to ja. Przynajmniej według Jégra. Waligrucha to stan duszy. Mojej duszy.

PRALKA POWIETRZA

21 września 1973 roku w Cieśninie Beringa podczas burzy zatonała Sowietom łódź podwodna. W Indiach we mgle zderzyły się dwa pociągi osobowe. Ku ogólnemu zaskoczeniu, FC Torino pokonał Manchester United 4:0. Gustáv Husák pojechał pociągiem z Pragi do Moskwy na obowiązkowy miesiąc miodowy. W Hamburgu już od miesiąca strajkowali stoczniowcy. Przez Florydę przeszedł huragan Ivan i zabił dziesięć osób. Pokazywali to w telewizji.

16 Huragan to tropikalny cyklon. Ogromna różnica ciśnień. Niszczycielski wiatr. W Japonii mówi się na niego tajfun. W Australii willy-willy. Na Oceanie Indyjskim orkan. Żeby powstał, potrzebne są trzy rzeczy: ciepła woda, wilgotne powietrze i zbiegające się wiatry równikowe. Ale może wystarczy, że gdzieś mucha machnie skrzydłami. Albo motyl. Albo komar. Albo że ktoś komuś pomacha na ulicy. Może dlatego ja nikomu nie macham na ulicy, żeby tym machnięciem nie spowodować katastrofy.

Huragan działa jak olbrzymia pralka powietrza, jak wielki odkurzacz, który czasem każdemu

z nas by się przydał. Może huragan też jest stanem duszy. Stanem duszy pogody. Ale teraz nie wiem, czy dokładnie mnie rozumiecie. Moja pani doktor twierdzi, że czasami mówię zbyt zawile. Ale że to nie szkodzi, bo ona i tak wie, co mnie dręczy i denerwuje. Dobrze, że chociaż ktoś to wie.

ADEPT PRZYSZŁOŚCI

21 września 1973 roku urodziłem się w naszym mieście ja i dziesięcioro innych adeptów przyszłości. Jedenastu świeżo upieczonych ojców z naszego miasta wyruszyło zapisać swoje wielkie szczęście, o którym myśleli, że potrwa całą wieczność. Wrócili późno w nocy w uwalanych garniturach z tesilu i z rozmazaną szminką na policzkach.

Tego samego dnia, dokładnie o dziesiątej rano, otwarto hotel na wzgórzu, w którym dzisiaj mieszkam. I w którym też pracuję. I który zbudowano tylko dzięki nieszczęśliwemu wypadkowi, za którym stał mój dziadek. I w którym Jégr się na mnie wydziera, bo też tu pracuje, a od czasu do czasu wydzieram się na niego ja, bo momentami Jégr jest nieznośny. Jego zdaniem nieznośny to jestem przede wszystkim ja. Ale może to tylko wina tej wysokości, która z ludźmi wyprawia różne rzeczy.

Nasz Grandhotel stoi na wysokości tysiąca dwunastu metrów nad poziomem morza. Czasami

odnoszę wrażenie, że to nie jest hotel, tylko wielka fabryka chmur. Wystarczy się rozejrzeć. Na takiej wysokości chmury ustawiają się jedna za drugą w kolejce przed naszymi oczami. Taka wysokość potrafi na człowieku zrobić wrażenie.

Hotel otwarto z wielką pompą, z jaką zawsze wita się przyszłość, o której myślimy, że na wieczne czasy będzie świetlana, ale nigdy tak nie jest, jak mawia Franz. Przyszłość zazwyczaj szybko gaśnie. O tym jednak nikt wtedy nie myślał, a ja to rozumiem.

Ze stolicy przyjechała telewizja i nakręciła dziesięciminutowy reportaż. Wystąpiła miejscowa orkiestra dęta, która zagrała osiem polek, sześć walczyków i niespodziewanie jednego bluesa, przy którym nikt nie tańczył. Pionierzy wręczyli budowniczym czterdzieści czerwonych goździków.

18 Zjedzono trzysta pięćdziesiąt trzy kanapki z szynką, wypito dwieście pięćdziesiąt trzy piwa oraz dziesięć butelek prawdziwej radzieckiej wódki. Trzydziestu gości na drugi dzień miało kaca. Dwóch wymiotowało jeszcze następnego wieczoru.

List gratulacyjny wysłał nawet prezydent kraju, chory generał, który pokonał nazistów na Przełęczy Dukielskiej. Ale list zgubił się na poczcie. Pewnie, że nie byłem naocznym świadkiem. Jégr mi opowiadał. A on wie wszystko. Był kierownikiem w sklepie samoobsługowym. I nie tylko. Ale do tego jeszcze dojdę.

A WIĘC TU MIESZKAM I PRACUJĘ

A więc tu mieszkam i pracuję. W Grand-hotelu na górze Ještěd. Przedtem szczyt nazywał się Jeschken. A wcześniej Jeschkenberg. A wcześniej Jeschenberge. A wcześniej Jesstied. A wcześniej Jesstiedr. Nazwa szczytu ma ponoć coś wspólnego z jakimś jeżem albo jakąś jaskinią. Jeże tu są. Jaskinie też. Albo coś w stylu jaskiń. Dziury w ziemi.

A więc tu mieszkam i pracuję. W zwężającej się ku górze okrągłej rakiecie o wysokości dziewięćdziesiąt metrów. Zbudowano ją z aluminium, z którego robiło się noże i widelce na obozy pionierów, oraz z laminatu, z którego robi się canoe i puchówki na obozy skautów. Nigdy nie byłem skautem, a z pionierów mnie wyrzucili. Ale do tego jeszcze dojdę.

Pracuję w hotelu, który nie ma kantów, ale i tak można rozbić sobie w nim głowę i stracić rozum. W hotelu, w którym wszystko jest okrągłe, w którym można zablądzić równie łatwo jak we mgle, w wielkim mieście albo jak w samym sobie. A to się czasem zdarza. Nie tylko mnie, ale każdemu, więc człowiek powinien być na to przygotowany. Tak mówi moja pani doktor.

W hotelu, nad którym zaczyna się nieskończoność, w hotelu, który niekiedy na całe tygodnie, miesiące, a może nawet lata znika w chmurach albo nad chmurami, więc nikt go nie szuka. W hotelu, po którym hula wiatr i którym wiatr

kołysze z taką łatwością, jakby to był zapomniany statek na Oceanie Indyjskim. A nam z półek spadają kubki i talerze, a blade i wystraszone panienki z pokoiów przychodzą do Jégra i on im rozdaje przeterminowany aviomarin, żeby znowu wszystkiego nie zwymiotowały i żeby ja nie musiał później tego sprzątać.

W hotelu, który jest sterem mojego życia i który wbija się w niebo jak ostra igła. Czasami odnoszę wrażenie, że tuż nad nami krwawi niebo. Ale może to tylko zachód słońca.

A więc tu mieszkam i pracuję. Zagubiony w najpiękniejszym miejscu świata, gdzie kończy się ziemia, a zaczyna niebo. Noszę walizki, opróżniam popielniczki, uzupełniam prezerwatywy w szufladach, wycieram kurze, sprzątam, wymieniam popsute krany i popękane kafelki. Jestem Fleischman do wszystkiego. Piję żółtą lemoniadę, jem wafelki, codziennie trzy lemoniady i trzy wafelki. Spotykam ludzi, których już tu nie ma i podglądam ludzi, którzy tu są, ludzi w pokojach, głównie dziewczyny. A czasem też ratuję inne dziewczyny, które przyjeżdżają się do nas zabić, dlatego że najpiękniejsze miejsca na świecie mają magiczną moc przyciągania. Jak na przykład Wieża Eiffla. Albo Diabelski Młyn w Wiedniu.

A więc tu mieszkam i pracuję, ale przede wszystkim trzy razy dziennie mierzę pogodę, piszę pamiętnik i obserwuję chmury. Czekam, co przyniosą nowego i czy zabiorą to stare, dlatego

że pogoda i chmury są na początku wszystkiego, wszystkich ludzkich rozmów i wszystkich historii, i będą też na ich końcu. Również na końcu tej historii.

Mówię to wszystko bez ogródek, bo nie chcę już mieć żadnych tajemnic.

NIEBO JEST JESZCZE BŁĘKITNE

Pogodynka. Barometr. Sopol. Termometr. Chmuromir. Tak na mnie mówili, kiedy chodziłem do szkoły. Ale też Krzywoń, Smarkuś i Tesil.

Nie, koledzy z klasy za bardzo mnie nie lubili. Ale wydaje mi się, że tych pierwszych pięć ksywek było lepsze. A raczej bardziej trafne. Otóż pierwsze słowo, jakie wypowiedziałem, brzmiało *chmura*.

Ale nie mogę mieć żalu do swoich kolegów. Mieli rację. Naprawdę mam trochę krzywą głowę po wypadku. Od tego czasu mam też katar i wciąż pociągam nosem. A spodnie z tesilu, niegniotącego się sztucznego materiału, kupował mi zawsze na Gwiazdkę tato. Brązowe. Czarne. Szare. Innych kolorów chyba nie było do wyboru. Nie mogłem mu wyjaśnić, że piją w krocze, ponieważ wstydzilem się przed nim powiedzieć słowo *krocze*. Moja pani doktor mówi, że to normalne, że każdy człowiek ma słowo, którego się wstydzi.

Ale ja zawsze byłem bardzo wstydlivy.

Również wtedy, kiedy szedłem po raz pierwszy do szkoły. Tego dnia świeciło słońce, wiał delikatny wiatr, a błękitne niebo rozlewało się aż po horyzont. Na początku wszystkich historii i filmów niebo jest błękitne, zauważyliście? Do momentu, w którym skądś nadciągną chmury. Ja wiem, skąd nadciągają. Mam nosa do chmur.

– Jaki będziesz? – spytała mnie mama przed wejściem do szkoły.

– Grzeczny.

– Dobrze – powiedziała, pogłaskała mnie i pocałowała w policzek. Potem odwróciła się i poszła. Patrzyłem na nią, podobało mi się, jak falowała jej sukienka. Słuchałem stukania jej obcasów. Zatrzymała się na chodniku. Na przejściu popatrzyła powoli w jedną i drugą stronę. Przejechał samochód. Przeczesała dłonią włosy i przeszła przez ulicę.

22 Właśnie tak ją sobie przypominam w drobinkach kurzu, które moja pani doktor nazywa wspomnieniami: stoi na skraju ulicy, powoli się rozgląda, czeka, aż przejedzie samochód i przeczesuje dłonią włosy. Patrzy na te, które jej zostały między palcami i wypuszcza je na wiatr. Tak po prostu. Elegancko. Czysto, jeśli wiecie, o co mi chodzi. A mi się wydaje, że w tej chwili na moment zatrzymuje się czas. Samochód przejeżdża, mama wkracza na przejście, przechodzi na drugą stronę i niebo jest jeszcze przez chwilę błękitne.